

# Płomienne gody



STEFAN GRABIŃSKI

KSIĘGA OGNI

## Płomienne gody

Kobierzycki spojrzął na zegarek. Była trzecia po południu. W zakładzie dr. Paderny wolno było odwiedzać chorych dopiero o czwartej; pozostawała zatem jeszcze cała długa godzina...

Kobierzycki rzucił okiem raz jeszcze na świeżo sporządzony testament, którym zapisywał cały swój wielki majątek przytułkowi dla ubogich, przebiegł raz jeszcze parę początkowych linii pisma i złożywszy akt we czworo, schował go do szuflady biurka.

Mimo woli spojrzawszy w lustro naprzeciw, smutno uśmiechnął się: w świetnie skrojonym żakiecie, z białą pikową kamizelką i czarnym, artystycznie związanym krawatem było mu bardzo do twarzy; Stacha tak lubiła go w tym stroju. Biedna, nieszczęśliwa Stacha...

Utkwił spojrzenie w portret bujnej, przepysanej kobiety, zawieszony nad łóżkiem. Dziś ledwo cień pozostał z dawnej krasy. Okropna choroba umysłowa zwarzyła jej egzotyczne piękno prawie zupełnie. I to w tak krótkim stosunkowo czasie! Rok niespełna!

A winę ponosił on, tylko on — Władysław Kobierzycki, ceniony niegdyś powszechnie chemik i wynalazca.

Wina — cha, cha, cha! Jego wina! Tragedia raczej, nieszczęście, zrządzenie losu, wszystko, tylko nie wina!

Bo cóż był winien on, że okrutny jakiś przypadek stworzył zeń zwyrodniałą anomalię, jakiegoś wyjątkowego osobnika, który nie umiał spełniać zadań życiowych jak inni ludzie, nie mógł używać życia i jego rozkoszy w zwykły, normalny sposób? W czym tu zawinił on, dziecko poczęte może w szale płomieni, w grozie pożaru, co tysiącem purpurowych wstęg zawisnął nad łonem matki w godzinę miłosnych spełnień?...

Opuścił głowę na piersi i zamyślił się...

Pod przymkniętą powieką zaczęły wykwitać obrazy przeszłości: dzieciństwo, młodość urodziwa i pierwsze akordy lat męskich...

Z chaosu wspomnień wygrążyło<sup>1</sup> się na powierzchnię i przykuło uwagę parę najważniejszych dłań w tej chwili, parę zasadniczych momentów, w których ujawniła się tragiczna zagadka jego istoty...

Do dwudziestego czwartego roku życia Kobierzycki nie odczuwał choćby najłżejszych wrażeń erotycznych; płeć i jej sprawy były mu dziedziną zupełnie obcą i nieznaną. Ze zdumieniem patrzył na zabiegi miłosne innych, których nie rozumiał, z chłodną obojętnością przechodził obok najponętniejszych kobiet. Koledzy śmiali się z niego, obdarzając przydomkiem „czystego Józefa”; drwiny znosił spokojnie, wzruszając lekceważąco ramionami.

Aż zaszedł pewnego dnia wypadek, który wstrząsnął nim potężnie, budząc na krótką chwilę uśpione życie płciowe. Pamiętał tę dziwną godzinę jak dziś.

Było to w Żmigrodzie, w lecie, podczas pożaru. Dom krewnych, u których spędzał wtedy wakacje, padł jeden z pierwszych ofiarą płomieni. Pamiętał najdrobniejsze szczegóły tej dziwnej, krwawej nocy; krzyk kobiet, hałas służby, gorączkowe wyrzucanie rzeczy przez okna.

Na widok pierwszych języków ognia nagle jakby przeistoczył się cały. Jakieś nieznanne

Pożądanie, Ogień,  
Męczyzna

<sup>1</sup>wygrążyć się (neol.) — zapewne przeciwieństwo słowa: *pogrążyć się*; wydobyć się z głębi, z toni. [przypis edytorski]



siły napływać zaczęły w jego dotąd chłodne, zrównoważone jestestwo, jakieś prądy gorące, zapędne<sup>2</sup> zaczęły kipieć w żyłach.

Silnie podniecony wyszedł ze swego pokoju na lewym skrzydle domu i zdążył ku wyjściu. Przechodząc przez sypialnię krewnych, spostrzegł kuzynkę swoją, szesnastoletnią Madzię, która na pół ubrana porwała się z łóżka do ucieczki. Wtedy to po raz pierwszy w życiu poczuł się mężczyzną. Ta dziewczyna, dotąd mu zupełnie obojętna, na którą aż do tej chwili nie zwracał niemal uwagi, nagle wydała mu się dziwnie pożądaną. Dreszcz krwi przebiegł ciałem i wywołał rumieniec wstydu.

— Boisz się, Madziu? — szepnął gorąco, tuląc ją bezradną w ramiona.

— Okropnie — odpowiedziała również zmieszana dziewczyna. — Chodźmy stąd, Władku! Tędy, przez jadalnię, chodźmy prędzej! Patrzysz na mnie tak dziwnie.

— Poczekaj! Jeszcze czas. Widzisz te płomienie tam na ganku? Nieprawdaż, jakie to piękne i potężne? Cudowny żywioł!

I błędził ręką po jej odkrytej piersi.

— Władku! Teraz nie można. Kocham cię, Władku, lecz teraz nie pora. Ogień już przedostaje się przez okno salonu do środka. Uciekajmy!

I pociągnęła go za sobą.

Niechętnie dał się wyprowadzić poza obręb płonącego domu; potem pochłonęła ich i rozdzieliła ciżba domowników i tłum ratujących.

A nazajutrz rano po pożarze, gdy zakłopotana Madzia podnosiła nań co chwila pijane miłością oczy, odwrócił się chłodno i w parę dni potem wyjechał. Czar płci, rozpetany ogniem pożaru, przygasł wraz z nim bez śladu: Kobierzycki był wobec kobiet znów zimny i obojętny...

Minęło parę lat cichej, gorliwej pracy. Powoli zdobył sławę zdolnego chemika i uzyskał katedrę w wyższej szkole technicznej.

Mimo intensywnej studiów młody uczonec nie unikał zabaw. Owszem, lubił towarzystwo i bywał<sup>3</sup> dużo; wśród wytwornej socjety warszawskiej był postacią popularną i chętnie widzianą — zwłaszcza u płci nadobnej. Jego odporność na wdzięki niewieście podniecała ambicję głośnych uwodzicielek serc męskich, ale bez widocznego powodzenia. U pięknych pań i zalotnych dziewic uchodził za twierdzący nie do zdobycia. *Beau monsieur impassible*<sup>4</sup> — oto przydomek, pod jakim znał go powszechnie wykwiniony świat niewieści.

Tak doszedł do lat męskich spokojny, pogodny, nietknięty burzą namiętności.

W parę miesięcy po przekroczeniu równika życia powtórzyło się nagle to sprzed laty sześciu i — rzecz szczególna — w podobnych warunkach; podczas pożaru.

Był wtedy tylko jednym z widzów, którzy tłumnie otaczali płonący dom. W szale rozpetanych nagle popędów, wśród zgiełku ludzi, wśród chaosu głosów posiadał po raz pierwszy w życiu jakąś młodą, czarnowłosą kobietę w czerwonym szalu na ramionach — opodał miejsca katastrofy, niemal na oczach ludzkich na jednej z ławek pobliskiego skweru ocienionej krzewami bzu. Posiadł ją w pożarze ognia i krwi i odszedł na zawsze nieznanym. Do dziś dnia nie wiedział nawet, kim była pożarna kochanka i jak się nazywa; zgubił ją w tłumie bez żalu i bez tęsknoty powtórzeń...

W trzydziestym piątym roku życia poznał na balu medyków Stanisławę Olszycką, precudną, rudowłosą, dwudziestoletnią wdowę po profesorze wszechnicy. Pani zajęła się nim od razu i wyróżniała go widocznie z grona wielbicieli. Był piękny, młody, sławny i uchodził za niezwykłego...

Widywali się zrazu na zabawach publicznych, w teatrze, na koncertach, potem u niej w domu, w ślicznej „Gopłanie”. Bywał chętnie, bo mu to pochlebiało, lecz bez gorętszych uczuć. Pani Olszycka dawała mu nieraz do zrozumienia, że mógłby zostać jej mężem, obiecywała wspierać karierę dzięki poparciu wpływowych krewnych: Kobierzycki udawał, że nie rozumie, lub grzecznie, lecz stanowczo uchylał się przed propozycjami. Za dumny był, by ją oszukiwać, za prawy, aby brać za żonę kobietę, do której nie czuł pociągu. Stasia była mu wtedy tylko nader sympatyczna — lubił ją ogromnie i podziwiał

<sup>2</sup>zapędny — pochopny. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>bywać (daw.) — udzielać się towarzysko; uczestniczyć na przyjęcia i imprezy (premiery teatralne, koncerty itp.), na których spotyka się elita towarzyska. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Beau monsieur impassible* (fr.) — Piękny obojętny (niewzruszony) mężczyzna. [przypis redakcyjny]

Pożar, Ogień, Pożądanie,  
Mężczyzna, Kobieta,  
Kochanek, Szaleństwo, Seks

jako piękny twór przyrody z pobudek czysto estetycznych — oto wszystko. O właściwych uczuciach erotycznych wtedy przynajmniej nie mogło być mowy...

Aż nadszedł pamiętny dla obojga 22 sierpnia r. 1891. Mieli tego dnia odbyć wspólną wycieczkę automobilem za miasto. Koło godziny czwartej po południu Kobierzycki, wytworny i elegancki jak zwykle, szedł Lipową w stronę „Goplany”. Na zakręcie, tam gdzie ulica, tworząc silny kąt, zmierzała prosto do willi, uczył swąd dymu i usłyszał gwar zmieszanych głosów.

„Gore!” — pomyślał, wpadając w stan szczególnego podniecenia. Po chwili wiedział już, gdzie wybuchł pożar: czarny słup dymu, przerywany od czasu do czasu żagwią płomienia, wykwitał nad willą pani Olszyckiej...

Pędem rzucił się w głąb ulicy i w parę minut potem przeciskał się gwałtownie przez gawieź ludzką, która półkolem otoczyła dom, tamując dostęp ratującym.

— Z drogi — krzyczał półprzytomny. — Z drogi!

Wpadł przez oszkloną werandę do płonącego wnętrza.

— Pani Stanisławo! — wołał, szukając jej po pokojach. — Gdzie pani?

Nie zważając na tumany duszącego dymu ani na ogień, który już opanował prawie skrzydło willi, rzucił się najpierw w tę zagrożoną stronę.

Lecz tu jej nie znalazł. Osmolony, czarny od kopcium, z nadpalonymi włosami, wydarł się płomieniom i wpadł przez przedpokój do sypialni. Tu zastał ją na pół omdlałą z przerażenia, przerzuconą bezradnie przez łóżko. Jej długie włosy o połysku miedzi, wymknąwszy się z uwięzi splotów, rozsypały się złotym płaszczem na poduszce.

— Jakżeś piękna! — zaszeptał, podając jej szklankę z wodą. — Jakżeś niezwykle piękna!

Stacha otworzyła oczy i poznała go. Uśmiech tkliwy i słodki rozjaśnił jej cudne rysy:

— Drogi panie!

I wśród huku płomieni, wśród kłębow dymu oddała mu się w niewysłowionej rozkoszy.

Pijany szczęściem, uniósł ją w ramionach przez okno i złożył lekko, ostrożnie, jak dziecko, na murawie parku poza willą...

Tymczasem przybyła w krytycznej chwili straż ogniowa ocaliła dom; dzięki sprawności i energii strażaków udało się ochronić „Goplane” od zupełnej zagłady. Szkody poczynione przez ogień naprawiono w ciągu kilku tygodni i w miesiąc po wypadku piękna wdowa mogła przyjmować gości jak dawniej w swym pysznie urządzonej salonie.

Zachowanie się Kobierzyckiego po wypadku było dla Stachy zagadką. Przez dłuższy czas po pożarze nie pokazał się w willi i jakby jej unikał. Dopiero po kilkakrotnym zaproszeniu przyszedł wielce onieśmielony i zakłopotany. Z namiętności, która wybuchła tak żywiołowo na chwilę, nie pozostało ani śladu: był znów, jak dawniej, wytworny i uprzedzająco grzeczny, lecz nie wykraczał poza granice zwykłej znajomości. Zdawało się, że zupełnie zapomniał o tym, co zaszło między nimi podczas pożaru.

Mimo widocznych objawów uczucia ze strony Olszyckiej zachowywał się wstrzemięźliwie i z rezerwą. O powtórzeniu sceny z 22 sierpnia nie mogło być mowy; czuł się do czegoś podobnego wprost fizycznie niezdolny; stąd płynęła przesadna powściągliwość wobec wylewów uczuciowych Stachy, których nie mógłby po męsku zaspokoić.

Wejrząwszy jednak głębiej w własne wnętrze, zauważył, że w jego życiu erotycznym zaszła pewna zmiana: mimo zupełnej obojętności zmysłów odczuwał dla złotowłosej kobiety silniejszą niż dawniej sympatię; lecz było to uczucie zgoła platoniczne, jeśli w ogóle to, co dla niej odczuwał, można było nazwać uczuciem. W każdym razie wkrótce zrozumiał, że rozstanie byłoby dlań obecnie rzeczą nader przykrą, jeśli nie bolesną; potrzebował jej towarzystwa i z nietajoną radością śpieszył na spotkanie.

Lecz jej to nie wystarczało. Pani Olszycka pokochała go miłością silną i namiętną kobiety zdrowej i normalnej i pragnęła, aby odpowiedział podobnie. Jego niewytłumaczony opór, zwłaszcza po tym, co zaszło, obrażał jej godność niewieścią i drażnił zmysły.

Stąd przyszło niebawem do gwałtownych i gorących starć.

Pewnego wieczora odprowadzał ją z teatru o dość już spóźnionej godzinie. Przed bramą domu chciał się pożegnać, lecz niemal gwałtem wciągnęła go do wnętrza. Ustąpił i zjedli razem kolację. Po usunięciu się służby przesiadła do niego na sofę i objąwszy niespodzianie za szyję, pocałowała go namiętnie w usta.

Kobierzycki nie oddał pocałunku, lecz lekko odsuwając się, zdjął łagodnie pieszczące go ramię.

Na twarzy Stachy odbił się wyraz niezmiernego bólu:

— Pogardzasz mną? — zapytała prostując się dumnie.

— Nie, przeciwnie. Czczę i szanuję jak mało kogo. I dlatego tak postępuję.

Ściągnęła wspaniałe łuki brwi i wpatrywała się weń przenikliwie:

— Nie kochasz mnie!

Kobierzycki powstał i, ujmując łagodnie przegub jej ręki, odparł spokojnie:

— Przeciwnie, kocham panią, lecz nie tak jak inni. Kocham panią, Stacho, lecz na swój sposób. Nie umiem inaczej. Miłość moja pozbawiona jest zmysłów.

— W takim razie jak mam tłumaczyć sobie twoje postępowanie *wtedy*? — zapytała, oblewając się purpurą wstydu na wspomnienie godziny rozkoszy.

— Przepraszam panią — szepnął, pochylając się ku jej ręce. — Obraziłem cię. To była u mnie chwila wyjątkowa, gdy nie władałem sobą: byłem jak nieprzytomny.

Przesunął dłoń po twarzy, jakby chcąc zetrzeć z niej głęboką rysę męki, co przeorała ją w tym momencie.

— Przebacz, Stacho, przebacz! Błagam cię! Podczas pożaru nie odpowiadam za siebie.

Rzucił się jej do stóp, obejmując rękoma kolana.

— Jestem anormalny — wyjąkał, kryjąc twarz w dłoniach. — Jestem zwyrodniałą, niepodobny do innych. Znamię ognia spoczęło na mnie. Jestem jego dzieckiem i igraszką. Nie wolno mi zbliżyć się do ciebie. Nie mogę zostać twym mężem, Stacho. Muszę pożegnać cię i wyjechać stąd na zawsze; nie chcę cię dłużej zwodzić. Pokochałaś kalekę.

Zamilkł i łkanie zaczęło wstrząsać jego piersią. Po raz pierwszy w życiu Kobierzycki płakał nad swą ułomnością, po raz pierwszy poznał, że jest zwyrodniałym wyjątkiem.

Stacha podniosła go z kłęczek i, tuląc jego głowę do piersi, szeptała głosem miękkim, pieściwym słowa pociechy i miłości.

— Jeśli mnie kochasz naprawdę, powinieneś mnie poślubić. Gotowa jestem wyrzec się rozkoszy fizycznej, byle zostać twoją żoną i mieć cię przy sobie. Czy sądzisz, że nie potrafię poprzestać na stosunku czysto idealnym? Kocham cię, Władku!

Kobierzycki wahał się. Wielka miłość tej kobiety odurzała go; nieprawdopodobny wydał się ogrom poświęcenia i abnegacji<sup>5</sup>. Wreszcie ustąpił i zgodził się. W miesiąc potem została jego żoną.

Lecz dzień ślubu miał być dniem katastrofy. Już na parę dni przedtem Stacha wyglądała na silnie zdenerwowaną: to bladła bez powodu, to nagle kraśniała rumieńcem; chwilami zdawało się, że popada w tępą, smutną zadumę...

Gdy po uczcie weselnej nowożeńcy zostali sami, wprowadziła go z blyszczącymi podnieceniem oczyma do swego buduaru. Na chwilę Kobierzycki został sam.

Czuł się dziwnie nieswojo, jakby zawstydzony. Usiadł na otomanie i zapalił papierosa. Wypuszczając pod strop kłęby niebieskiego dymu, usiłował ująć sytuację. Wydała się nijaka, arcyśmieszna.

— Głupia historia — mruknął strzepując popiół z kłapy fraka.

Wtem spoza kotary, oddzielającej buduar od sypialni, wyszła jego żona...

Była zupełnie naga. Przepysznie wykute jej ciało oślepiła śnieżną białością na tle płomiennego płaszcza włosów, które kaskadą spływały niemal do stóp. W ręce trzymała płonąca ampułkę w kształcie złotego lotosu. Kołysząc się na cudnie sklepionych biodrach, postąpiła ku niemu z uśmiechem pijanej menady.

— Dzisiejsza noc należy do nas: noc ogniowego cudu, twoja noc, mężu mój i kochanku. Jakżem szczęśliwa i dumna!

Przytknęła płomień kaganka do kotary; powoli wśród ciszy przytających oddechów draperia zajęła się; długa, wąska wstążka ognia zaczęła wspinać się brzegiem zasłony pod sufit. Wtem z wnętrza domu odezwał się suchy trzask trawionych sprzętów i w nozdrza uderzyła woń spalenizny.

— Patrz!

Odchyliła płonąca kotarę, ukazując sypialnię. Kobierzycki ujrzał w głębi kotłujący kłęb płomieni.

Pożądanie, Seks, Ogień,  
Pożar, Kobieta, Męczyzna,  
Ofiara, Szaleństwo

<sup>5</sup>abnegacja (z łac.) — wyrzeczenie się; brak troski o swój stan, wygląd i korzyści. [przypis edytorski]

— Czyż nie piękny widok, drogi mój? — zapytała wypuszczając z ręki ampulkę. I zarzuciła mu na szyję parę cudnych ramion.

— Czyżbyś ty sama? — zaszeptał cały w dreszczach złowieszczej namiętności.

— Tak, to moje dzieło. To nasze gody ogniowe.

I obsunęła się wraz z nim na otomanę.

Ogarnęło ich szaleństwo pożaru. Wśród huku płomieni, wśród trzasku przepalanych belek, wśród węzowych splotów dymu święcili noc poślubną. Żar ognia otaczał ich coraz węższą obręczą, coraz bliżej przyczołgiwały się macki pożaru.

Wtem rozległ się okropny śmiech Stachy. Kobierzycy oprzytomniał i ujrzał się w środku ognistej topieli. Dym wygryzał im oczy, piekło ciała, parzył skórę.

— Cha, cha, cha! Cha, cha, cha! — szydził rozdzierający chichot kobiety.

Zarzucił jej na głowę jakąś chustę i smagany biczami ognia wypadł wraz z nią na podwórze. W tej chwili strawiony do przyciesi strop zawalił się i z głuchym łomotem runął w węzowisko płomieni...

W miesiąc potem odwiózł Kobierzycy żonę swoją do zakładu dr. Paderny dla umysłowo chorych. Wstrząśnienia nocy poślubnej wypaliły na umyśle nieszczęśliwej niezatarte piętno obłądki.

Choroba przybrała od razu formy groźne, niemal wykluczające powrót do stanu normalnego. Opieka lekarska była nieodzowna. Przychodziły na chorą okresy zupełnej depresji, gdy całymi dniami siedziała nieruchomo z oczyma wlepionymi w szybę okna, to znów ataki szału, podczas których darła na sobie suknie, rzucając na mężczyzn bezwstydne spojrzenia obłąkanej żądzy. Czasami przeradzał się obłąd w bezdenny strach przed pożarem, w piekielną groźbę ognia; wtedy nieszczęśliwa, wtulona w kąt pokoju, studiowała wychodzącymi z orbit oczyma jakieś fikcyjne płomienie, krzycząc coś ochryplym, dzikim głosem.

Lecz były i dni, gdy ogień przeistaczał się dla Stachy w rodzaj cudnej fantasmagorii, w jakiś płomienny fetysz; wtedy pragnęła go wywołać za wszelką cenę, pożądała całym swym tragicznym jestestwem jego żółtoczerwonych języków i palących wstęg. Podczas jednego z takich ataków zakład Paderny omal nie uległ katastrofie, gdy Kobierzycy w przystępie szału podpaliła swą celę. Cudem tylko udało się ocalić obłąkaną i ugasić pożar.

Odtąd czuwano nad nią z podwojoną gorliwością, usuwając starannie z jej pobliża płonące świece i zapalki.

Tak upłynął rok pobytu w zakładzie. Kobierzycy odwiedzał żonę początkowo dwa razy na tydzień, we wtorki i piątki między godziną 4 a 5 po południu. Lecz wizyty te były dlań nader przykre; wracał do siebie zawsze silnie rozstrojony. W okresie melancholii i duchowej prostracji przyjmowała Stacha te odwiedziny obojętnie, nie poznając go zupełnie; kiedy indziej znów rzucała mu się na spotkanie z wyciągniętymi ramionami, okrywając go pocałunkami ust spalonych gorączką. Wtedy mówiła ciągle o ogniu, pożarze, płomieniach i miłości i rozpuszczając miedzianą kaskadę swych włosów, wabiła go ku sobie jak samka gołębia.

Kobierzycy przeżywał wtedy chwile najokropniejszej katuszy: wstyd i ból, rozpacz i upokorzenie szarpały mu duszę na strzępy. Wychodził z tego domu przygarbiony, drżący, postarzały o lat dziesiątek.

— Masz zapalki? Władek, masz zapalki? — brzmiał mu w uszach namiętny szept obłąkanej. — Daj choć jedną, choć jedną, choć jedną, Władus! — skamlał gorączkowy głos Stachy. — Podpalimy najpierw firanki, potem pościel, łóżko, a potem...

Tu wyczuwał na twarzy jej szybki, nierówny oddech.

— A potem, wiesz co?...

Pochylała mu się do ucha z tajemnym szeptem:

— Cha, cha, cha! Cha, cha, cha! Płomienne gody! Nasze czerwone, nasze purpurowe gody!...

Wyrwał się z jej objęć błądliwy, wstrząsany dreszczem grozy i uciekał do domu tym długim, chłodnym kurytarzem w dwa rzędy cel numerowanych...

Po jednej takiej scenie poradził mu dr Paderna, aby ograniczył swe wizyty do jednorazowych odwiedzin na miesiąc. Lekarz utrzymywał, że obecność jego widocznie działa

podniecająco na chorą, a i dla niego samego częste wizyty mogą stać się niebezpieczne. Kobierzycki przyznał mu w części słuszność i odtąd odwiedzał Stachę rzadziej.

Jakoż namiętne wybuchy obłąkanej bywały teraz coraz słabsze, lecz równolegle z tym wystąpiły inne objawy, budząc w nim różne podejrzenia. Oto zauważył po jakimś czasie, że Stacha poznaje go z coraz to większym trudem, że patrzy nań coraz to obojętniej, że jest jej coraz bardziej obcy. Równocześnie nie podobało mu się zachowanie Paderny. Parę razy pochwycił jego spojrzenie, rzucone na chorą pod koniec wizyty, gdy wchodził na chwilę do jej celi, parę razy ujrzał dziwny błysk w oczach obłąkanej na widok lekarza. Powoli nabrał przekonania, że Paderna pragnie go odsunąć od żony możliwie na najdalszą metę i ogranicza liczbę odwiedzin ze względów niekoniecznie leczniczych. Okropne podejrzenie, zakradłszy się raz do duszy, sączyło w nią zabójcze jady, wyżerało coraz głębsze koleiny. Po czasie spostrzegł lekceważący uśmiech asystenta, cyniczne spojrzenia zakładowych famulusów<sup>6</sup>.

Wreszcie spostrzeżenie uczynione w czasie ostatniej wizyty, dwa dni temu, rozwiła resztę wątpliwości, odsłaniając nagą, ohydą prawdę.

W ubiegły piątek przyjęła go Stacha z zupełną obojętnością i nawet nie odwróciła się ku niemu twarzą od okna, przy którym zastał ją po wejściu do celi. Przemawiał długo głosem cichym, serdecznym, pieścił ruchem miękkiem, macierzyńskim pukle jej włosów. Chora zdawała się tego nie dostrzegać; oczy jej, zapatrzone w przestrzeń poza oknem, co jakiś czas zwracały się pytająco ku drzwiom, jakby kogoś oczekując. Gdy w końcu koło piątej wszedł do pokoju Paderna, obłąkana porwała się ku niemu z błyskiem radości w oku.

— Nareszcie jesteś, Władku! — wyszło z ust jej westchnienie ulgi.

Lekarz zmieszał się i popatrzył na Kobierzyckiego.

— Typowe u obłąkanych pomieszanie osobowości.

— Znamienne, chciał pan powiedzieć — poprawił go zimno Kobierzycki. — Teraz już bierze pana za mnie.

I wyszedł bez podania mu ręki...

W ciągu najbliższych dni dojrzało w nim postanowienie. Odwieść go od zamiaru nie mogło już nic w świecie. Uporządkował wszystkie swe sprawy, spisał ostatnią wolę, oddał do druku najświeższą swą pracę naukową. Spokojnie, z uśmiechem wytwornego chłodu czekał końca.

A koniec ten miał przyjść dzisiaj — dzisiaj, w poniedziałek 21 maja między godziną 4 a 5 po południu. Spojrzał powtórnie na zegarek: dochodziły trzy kwadransy na czwartą; czas był najwyższy. Wstał od biurka, ubrał się i za chwilę jechał dorożką w stronę zakładu. Po kilkudziesięciu minutach pojazd zatrzymał się przed bramą lecznicy. Kobierzycki zapłacił dorożkarza i krokiem spokojnym, równym, odmierzonym jak wahania zegara, zaczął wstępować na schody. Nie zatrzymał go nikt w drodze — szedł, jak przeznaczenie, chłodny i nieubłagany...

Oto długi, półmrokiem okryty korytarz z dwiema pierzejami cel... Zatrzymał się pod numerem 15 i sięgnął po coś do kieszeni zakietu...

Z wnętrza doszły go w tej chwili jakieś głosy: niski męski baryton i spazmatyczne łkania kobiety. Pociśniętą klamkę i wszedł do środka...

Na sofie w objęciach Paderny leżała jego żona. Na skrzyp drzwi lekarz zerwał się, zasłaniając odruchowo głowę. Na próżno! Huknął strzał celny, jedyny i trafił go w skroń. Upadł bez jęku...

Stacha, w złotolitym płaszczu włosów, podniosła się z sofy i pochyliła się nad ciałem lekarza. Nagle podniosła twarz ku mężowi: w rysach zmaconych szaleńcem zdawał się przez chwilę ważyć jakiś problemat, przedzierać rozpaczliwie ku jaśnionom jakaś zagadka... Wtem błysk przytomności zaświtał w jej oczach — powiodła ręką po czole, rozchyliła usta, chciała coś przemówić... Za późno! Huk strzału uprzedził słowo. Z głuchym jękiem stoczyła się na zwłoki Paderny. Wtedy Kobierzycki skierował wylot rewolweru we własne serce.

---

<sup>6</sup>famulus (daw.) — zaufany sługa. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-ksiega-ognia-plomienne-gody/>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Utwory wybrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.